Lwów, 9. Marca. №29. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr. — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następne po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego.

Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

FEUILLETON CZASU.

Z nad Prutu. *dnia 2. marca 1854.*

Szanowny Panie! Zdziwi to pana zapewne, że nagle i niespodziewanie odbierasz korrespondencyą z takiego miejsca, o którem pod względem dbałości o literaturę polską gorsze panuje wyobrażenie w świecie, niżeli o Azyi lub Chinach. Lubo do tego słusznego powodu nie ma, jednak i ja nie waham się przyznać niestety, że nim tu zamieszkałem, nie tylko pod względem dbałości o literaturę, ale zgoła pod względem samej-że oświaty także nie osobliwą miałem opinią o tym urodzajnym i dziwnie pięknym kraiku.

Taki początek listu wyczytawszy, zechcesz się pan zapewne domyślać, że ująłem pióro do ręki na to, ażeby panu sypnąć jakich kilkanaście kartek wodnistego opisu okolicy, tych drzewek i górek i strumyków, nad którémi aż do znudzenia się rozwodzić i po kilkadziesiąt razy rzecz jedną i tą samą powtarzać, weszło od niejakiego czasu w modę u naszych pisarzy, czego niezaprzeczonym dowodem wszystkie wycieczki do Tatrów, przed laty dwudziestu w nieszczęśliwą godzinę przez Goszczyńskiego poczęte, a jak się pokazuje, nawet przez znakomitego uczonego krakowskiego p. Łepkowskiego nie ze wszystkiem skończone, bo zaczął nas niemi niedawno na nowo traktować p. L. Siemieński w swym feuilletonie, (paźdz. 1853). Nie chodzi mi tu wszakże o same wycieczki do Tatrów, o których także już coś należało otwarcie powiedzieć w dziennikach, ale chodzi o cały feuilleton „Czasu," który już od tak dawna oczekuje laurów za swoje zasługi, a o którym, jak gdyby na złość, grobowe przez wszystkie dzienniki panuje milczenie.

Brak zdrowej i czynnej krytyki u nas jest rzeczą tak powszechnie znajomą, iż niema co długo o tem rozprawiać. Wszakże z tej ciemnej próżni tyle już wyrodziło się złego w naszej literaturze, iż dzisiaj doprowadziliśmy już do takich rezultatów, jakich przykładów napróżno byśmy szukali we wszystkich europejskich literaturach. Główném zaś złem, wypływającem z tego źródła, jest niezawodnie to, iż panowie autorowie i redaktorowie popadli w tak despotyczną samowolę i w tak śmiałe niedbalstwo, że z publicznością czytającą obchodzą się zaiste nie lepiej, jak właściciele fabryk z swoimi robotnikami. A sztukę tę podniósł niezawodnie do najwyższego stopnia dziennika krakowskiego feuilleton. Pisać o politycznych kolumnach „Czasu" niemam tutaj zamiaru; czyniąc to bowiem, musiałbym przedewszystkiem zająć panu kilka arkuszy jego dziennika, nim-bym objaśnić zdołał wszechstronnie stanowisko tej gazety i nimbym się porozumiał o główne zasady; powtóre mam zwyczaj szanować wszelką cudzą opinię, wypowiadaną statecznie i bez dyktatorskiej pretensyi; a zresztą wczuwając się w ogólne okoliczności, towarzyszące stanowi całej prowincyi, zdaje się, iż mam słuszność za sobą, jeżeli powiem, iż napróżne by było wszelkie choćby najgruntowniejsze rozprawianie o tej materyi, bo co być może, to jest, a co by się dało wymagać, tego wymagać nie można. — Tedy cokolwiek więcej dbałości w układzie całego dziennika, mniej powtarzania jednych i tych samych doniesień, czynniejszego i lepiej informowanego korrespondenta ze Lwowa, a nakoniec staranniejszą korektę, i owoż wszystkie poprawki, o które śmiało może prosić wierna „Czasowi" i roztropna publiczność.

Ale z feuilletonem, który, jak w całym kraju wiadomo, redagowany przez p. L. Siemieńskiego, zupełnie od redakcyi jest niezawisłym, możemy sobie obszerniej pogadać.

Nim atoli przystąpię do bliższego przypatrzenia się literackiemu pismu, pozwolisz szanowny redaktorze, że narzucę pytanie: co być może zadaniem takiego feuilletonu? Zadaniem feuilletonu, który nie jest czem innem, jak tylko dziennikiem literackiem a przez to, iż stoi w związku z polityczną gazetą, daleko jeszcze obszerniejsze ma pole działania od innych kolegów, zadaniem takiego feuilletonu nie może i nie powinno być nic innego, jak być zwierciadłem i obrazem literatury bieżącej, postępujących nauk i rozwijających się sztuk pięknych. Taki cel zakładają sobie zwyczajnie wszystkie dzienniki literackie i feuilletony, taki cel musiał sobie założyć feuilleton „Czasu," czego niezaprzeczonym dowodem jego nadpis: „Część literacko-artystyczna." Osiągnienia też tego celu w zupełności ma prawo wymagać od feuilletonu czytająca publiczność, a prawo to w tym wypadku jest jeszcze tem sprawiedliwszem, ile że zadosyćuczynienie jemu jest rzeczą samą z siebie wcale nie trudną, a tem bardziej dlatego, że redaktorem tego feuilletonu jest pan Lucyan Siemieński, który ma pewne zrobione w literaturze nazwisko, i który licznemi pismami swojemi niezaprzeczone dał tego dowody, że przy wykształceniu wszechstronnem łatwością pióra przechodzi wielu innych piszących.

Tymczasem przy tak szczęśliwych okolicznościach jak-

żeż to odpowiada swojemu skromnemu zadaniu feuilleton? cóż on przynosi swojej wiernej i bezprzykładnie cierpliwej publiczności? — Oto, ażeby prawdę powiedzieć, przynosi on wszystko, prócz tego, co przynosić powinien. Od filozofii chrześciańskiej i teoryi geologicznych począwszy, aż do exotycznych listów o modach paryskich i poważnych rozbiorów lichych przekładów jeszcze lichszych broszurek francuskich (1853), od listów ze Wschodu i wiadomości o wystawie towarzystw rolniczych angielskich aż do filozoficznych traktatów o światowości i obyczajach, wszystko nam podaje feuilleton. Ale o tem, jaki kierunek bierze literatura polska w tej lub owej prowincyi, jaki pochód biorą nauki, jakie się pojawiają nowe książki i broszury, co zawierają, jakiego doznają przyjęcia, co jest gdzie pod piórem, co pod prasami, o tem wszystkiem tak upornie milczy feuilleton, jak gdyby miał wyraźny zamiar zajmować nas rzeczami cudzemi a od wszystkiego tego, co swoje, co narodowe, oczy nasze odwracać. Bo i jakaż to jest redakcya?... Nic nie przesadzę, jeżeli powiem, że jak długo żyję, nie zdarzyło mi się widzieć pisma krajowego, któreby tak mało dbało o rzecz krajową, jak w mowie będący feuilleton, a nie masz żadnej wątpliwości, że jeżeli kiedyś historya literatury odda należyty hołd za wytrwałość i pracowitość dziennikowi „*Czas*," to wspomnienie o jego feuilletonie przyłączy do wspomnień o Lwowianinie, Telegrafie, Dniestrzance i t. p. Bo zaiste, krom artykułów pojedynczych, oderwanych i niczem ze sobą nie licujących, które nie mający żadnego związku z redakcyą autorowie czasem jej nadsełają, cóż nam lepszego daje od siebie feuilleton, jak dawały Lwowianin, Telegraf, Dniestrzanki? Czy usłyszeliśmy choć raz zdanie feuilletonu w tej albo owej kwestyi naukowej? Czy odezwał się kiedy od siebie przy jakiej polemice literackiej toczącej się poza nim, albo nawet przypadkowo w jego kolumny zabłąkanej? czy zdał sprawę z jakiego choćby jednego ważnego dzieła? czy nakoniec choć bibliograficzny spis książek umieścił taki, któryby nie przedrukował z Dziennika literackiego, z Biblioteki Warszawskiej albo z innego jakiego pisma?.... Cóż to jest za redakcya? Oto jest redakcya taka, którąby pierwszy lepszy zecer potrafił prowadzić z tym samym skutkiem, bo nie zależy na czem innem, tylko na zapchaniu miejsca czem kolwiek bądź, co się zdarzy, bez żadnego względu na to, czy się to choć jednej części czytającej „*Czas*" publiczności przyda na co, lub nie? Ażeby tego dowieść, przejdźmy po kolei to wszystko, co nam się z przeszłorocznego feuilletonu zachowało w pamięci. Więc komu u nas i na co przydadzą się *Rozmowy geologiczne H. Davy* kulawą przełożone polszczyzną? Kto czytać będzie w „*Czasie*" *Historyę o księciu Przemysławie i jego żonie Cecylii*, kiedy kto zechce, znajdzie ję w *Antypastach Morsztyna*? Na co komu rozprawę p. Gołuchowskiego o *Światowości*, powtarzać w „*Czasie*," kiedy ją każdy już czytał w *Pokłosiu*? A jakie to jeszcze postępowanie przy tem bezwyborowem zapychaniu kolumn feuilletonu? Bo pytam się: co ma robić *Wiadomość o wystawie rolniczej angielskiej* w Dzienniku literackim *polskim*? Co lichy wyjątek z dzieła *L'insurrection en Chine*? czy godzi się podawać komuś krytykę taką jak *Gawędy i rymy ulotne Syrokomli* przez Szymanowskiego, albo *Wielki Pan W. Wolskiego* przez Padalicę, i to jeszcze zkąd innąd przedrukowaną? Czy nie jest to Lwowianinowska nieznajomość dziennikarska albo przynajmniej odwaga szczególnego rodzaju, oparta na najzupełniejszem lekceważeniu publiczności? A cóż dopiero teraz powiedzieć o wydrukowaniu artykułu takiego, jak n. p. *List otwarty do korespondenta ze Wschodu*? co o artykule takim, jak *Wiejski Wierszopis*? co o *Wzorkach lwowskich*, przypominających sławnej pamięci wiersze:

Mocniejszy niźli sto tysięcy szabel
Najniższy sługa, Dyonizy Babel.

Cóż nakoniec powiedzieć o takiem studenckiem i nieprzytomnie niedbałem wydaniu, zkąd innąd bardzo pięknych i szacownych *Pamiętników hr. Małachowskiego*? co o przedrukowaniu powiastki p. t. *Osiński* dla tego iż kilka nieznaczących wierszy autor dodał? jak sądzić udanie za oryginalną powiastki: *Szczęście z biedą w parze idą*, albo przebranie jednego rozdziału z Bulwerowskiego romansu w polską szatę i nadanie mu tytułu *Przeczucie?...* Uchodziło to panu S. gdy młody jeszcze był przy redakcyi Rozmaitości i wydawcom za oryginalne podawał powieści niemieckie, przebrawszy bohatyrów w kontusze i żupany. Niech nam pan redaktor feuilletonu daruje, ale my profani z nad Prutu dziwić się musimy tym wszystkim nowym wynalazkom jego redaktorskiej zdolności i admirować jego odwagę, bo to wszystko, o czem powyżej wspomniałem, nie jest już wadą lub niedostatkiem, ale jest po prostu ciągle się powtarzającym występkiem przeciwko publiczności, jest obrazą wiary publicznej, która tylko jedna wiąże czytelników z literaturą, jest nakoniec podeptaniem tych najszlachetniejszych uniesień ogółu, przez które jedynie mają do niego przystęp ci, którzy mogą uszlachetniać jego uczucia i oświecać jego rozumy.

Ażeby jednak nikt nie powiedział, że chcąc dowieść mojego z góry wypowiedzianego zdania o feuilletonie, wspomniałem tylko o tych artykułach, które były słabe lub niedorzeczne a przemilczałem nie złe, albo co gorzej jeszcze, ażeby ktoś nie pomyślał, iż jestem zdania, że w całym feuilletonie nigdy dobrych artykułów nie było, przyznaję otwarcie, iż rzeczywiście po tem piśmie błąkają się tu i owdzie artykuły niezłe. Ale wypadek ten nie służy bynajmniej na obronę redakcyi, bo na wszystkich artykułach tych znajdujemy albo nazwiska albo znaki osób nie mających z feuilletonem żadnego związku, a przy ocenianiu wartości pisma peryodycznego należy ściśle odróżnić arty-

kuły pochodzące od samej redakcyi, od artykułów tych, które jej przychodzą zkądinnąd. Ja nie znam tak lichego pisma, któreby nie znalazło swoich współpracowników. Miał ich niegdy Lwowianin, ma ich teraz Telegraf, znalazł ich i feuilleton. Bo w kraju jest daleko więcej piszących, niżeli ci, o których wie czytająca publiczność, a każdy z nich chce drukować to, co napisze. Więc jedni dla tego, byle im wydrukowano, drudzy przez rzetelną chęć pomożenia pismu, inni z przyczyn jakichś przez okoliczności wywołanych, dają się słyszeć w Dzienniku. Dla tego też nie przeczę wcale, że lubo nie było jenialnych, jednak były nie złe artykuły we feuilletonie a mogą być z czasem jeszcze lepsze, ale co ktoś przyszle redakcyi a redakcya wydrukuje, nie może być liczonem jej za zasługę, bo tym sposobem i za zasługę potrzebaby poczytać zecerowi, że dobry artykuł wysadził. Jeżeli redakcya może mieć w tem zasługę, że dobre artykuły cudze drukuje, to tylko o tyle, o ile widać, że się umiała o nie postarać i je zgromadzić. A tego wcale nie widać po feuilletonie, a jeżeli co widać, to to, że ma dar szczególniejszy wprawdzie całkiem nieznanych, ale także szczególniejszych wyszukiwać autorów.

Przy takiej tedy redakcyi, na publikowaniu bezwyborowych tłumaczeń, na przedrukowywaniu wyjątków z gazet i dzieł, na ogłaszaniu wszystkiego tego, co nieznanym i szczególniejszym autorom z pod niewprawnego wypadnie pióra i na różnych dziwnie dowcipnych sztuczkach redaktorskiego jeniuszu, przeszły krakowskiemu feuilletonowi bezkarnie wszystkie lata jego istnienia, a o ile się w tym roku z dawnych swych błędów poprawił i z dawnej podniósł niedołężności, okaże to dostatecznie sam przegląd artykułów, które nam do dziś dnia raczył przynieść feuilleton. Tedy rok 1854 poczyna feuilleton wytartą i wypłowiałą fantazyą o nowym i starym roku, która także być musi płodem jakiegoś początkującego autora, niewiedzącego o tem, że w drugiej połowie XIX. wieku tylko pióro jenialne może się na tym przedmiocie spróbować. Następujące dwa numera przynoszą nam przedruk z książki powszechnie znanej p. t. *Dolina Kowieńska*, w którym prócz nowych błędów drukarskich nie znajdujemy żadnej od oryginału odmiany. Potem przemawia feuilleton po raz setny o *wirowaniu stolików*, artykułem przedrukowanym z dodatku do Gazety lwowskiej. Potem ogłasza nam korespondencyą z Warszawy, której autor, usiłując na próżno naśladować *le Courier de Paris* z *Independance Belge*, wprowadza nas w sam środek dawno się już agitującej a z łaski feuilletonu zupełnie nam nieznanej polemiki pomiędzy Gazetami warszawskiemi. Następnie przynosi nam feuilleton jeszcze jeden list o modach paryskich: rzecz o głupstwach salonowych napisana salonowym językiem. Po tem głupstwie exotycznem następuje głupstwo swojskie o kuligach z *Miechowskiego*, artykuł brudny, błotnisty i pełen osobistości. To też dla nawonienia powietrza po tych brudach daje nam zaraz feuilleton artykuł z troistym tytułem: *O różanym stoku około Grodna*, *o cudownym Obrazie Matki Boskiej* i *kilka słów o Korsakach*, i na tem kończy się chwalebnie pierwsza połowa miesiąca stycznia. Druga połowa tegoż miesiąca poczyna się znowu *różanym stokiem około Grodna*, *cudownym Obrazem Matki Boskiej* i *drugiemi kilku słowami o tychże Korsakach*. Potem następuje niezrozumiała odpowiedź na niezrozumiałą korespondencyą z Warszawy, aż nareszcie przychodzi po długoletniej niebytności drapiąca i złośliwie się uśmiechająca krytyka *listu żelaznego*. Krytyka ta drapie po tem żelazie i cieszy się z swego chrypliwego głosu przez trzy numera, a nacieszywszy się dostatecznie i odpocząwszy po trudach krytycznych, puszcza czytelnikom swoim *komety z XIX. wieku* przetłumaczone z *Babineta*, tłumaczy potem znowu *memoryał spirytualistów amerykańskich* z Debatów i na tem dwoistem tłomaczeniu kończy z chwałą drugą połowę stycznia. Miesiąc luty rozpoczyna feuilleton dalszą korrespondencyą z Warszawy i jeszcze zawsze nic od siebie nie mówi o polemice gazet warszawskich; potem drukuje artykuł nadesłany o uwagach p. Malickiego, potem daje nam wiadomość o *badaniach filozoficznych chrześcianizmu* p. Z. Zamojskiego, a nakoniec pali nam najnieszczęśliwszą komedyę najnieszczęśliwszego z dramaturgów polskich. Po komedyi następuje pełna niedorzeczności korrespondencya z Warszawy; po niej, jeżeli się nie mylę, pozbierana z dzienników i podrobiona korrespondencya z Ukrainy, a ostatecznie artykuł panny Leopoldyny Bobrowskiej o powieści pani Maryi z Ch. Pomezańskiej a właściwie o Gertrudzie Komorowskiej i Szczęsnym Potockim. Artykuł ten, rozrabiający bez żadnej potrzeby jedyną może ciemną stronę w historyi starożytnej i od wieków pod wszelkiemi względami znakomitej i zasłużonej familii Potockich, a przypominający sobą równie otrzaskaną kwestyą o Halszce z Ostroga, rzucającej podobnie jedyny może cień na równie piękną i świetną historyę rodziny X. Sanguszków, artykuł ten mówię jest dla nas tylko dowodem żakowskiej nierostropności redakcyi feuilletonu, która, zamiast skarcić otwarcie i stanowczo zabytki owej literatury ujemnej, która na wykrywaniu stron ciemnych w społeczeństwach różnych wieków tępiła swoje rozumy, sama jeszcze drukuje najlichsze ramoty tej niesmacznej i do niczego nieprowadzącej dążności. Ale artykuł ten jest nam zarazem dowodem niezawisłości feuilletonu od redakcyi „Czasu,“ bo dziennik ten, któren jeżeli czem, to pewnie głównie stałem poszanowaniem tego wszystkiego co godne szacunku i ścisłą konsekwencyą w swoich zasadach, stale się zaleca swym czytelnikom, niemógłby był nigdy dać swojej affirmatywy na drukowanie takiej jak i większej połowy we feuilletonie się pojawiających i niczem ze sobą nie licujących ramotek.

Na tem kończę moich słów kilka o feuilletonie i mam tę nadzieję, iż pan, uznawszy ich słuszność wraz ze mną i wszystkimi abonentami, znajdziesz dla nich miejsce w swem piśmie. Przesełając zaś je panu, miałbym to głównie na celu, iżby niemi upomnieć się w imieniu moich współabonentów u redakcyi „*Czasu*" o to, co się nam z prawa należy. Wymagania nasze nie są wielkie, nie żądamy bowiem od feuilletonu, ażeby się stał takim lub owakim kierownikiem ruchu literackiego, nie żądamy od niego, ażeby nas nauczał takiej lub owakiej nauki, nie wymagamy nawet, ażeby wykształcał nasz smak estetyczny, ale prosimy o to, ażeby, przestawszy już raz reprezentować dawnego paupra krakowskiego, składającego wszystkie z łaski sobie podane ogryzki do swego garnka, stał się tem, czem z obowiązku względem powszechnie przez nas szanowanego i wspieranego Dziennika i z obowiązku względem abonentów tegoż Dziennika, być był powinien. Jaśniej zaś mówiąc, dziękujemy mu za wszystkie geologiczne, spiritualistyczne i inne prześliczne rozprawy, dziękujemy za *Stoki Różane i Listy o modach paryskich*, dziękujemy za *Wycieczki do Tatrów* i wszystkie tłumaczenia z dzieł lub gazet francuskich lub innych, a natomiast prosimy, ażebyśmy my, którzy w dzisiejszych okolicznościach nie jesteśmy w stanie kupować wszystkich książek i utrzymywać wszystkich gazet, mogli przezeń wiedzieć o wszystkiem, co się pojawia w polskiej literaturze i co się dzieje w krainach nauki i sztuki. Przyjmiemy przytem chętnie wiadomość o znakomitszych zagranicznych utworach, przyjmiemy rozprawy o rzeczach nas obchodzących, przyjmiemy nawet i słabsze próby młodych i nie wprawnych talentow, byleby to nie były najlichsze śmiecia i wybiórki, ubliżające tak dobrze abonentom jak i redakcyi Dziennika.

W skromne nasze życzenia, spodziewamy się, że wejść zechce redakcya „*Csasu*" a to o tyle pewniej, ile żeśmy dotychczas dali jej dostateczne wytrwałości i cierpliwości dowody, i aż lat nam potrzeba było na to, ażebyśmy się odezwali publicznie i stanowczo. Jeżeli zaś uwagi nasze uwzględnione nie będą, niechaj ten list mój przynajmniej posłuży za protestacyą przeciwko niedbalstwu feuilletonu pana **Lucyana Siemieńskiego** a zarazem za dowód, że czytająca publiczność, chociaż milczy i przyjmuje cierpliwie to, co jej panowie redaktorowie podają, jednak czuje się w swoich prawach i bezkarnie występować przeciwko sobie nie pozwoli.

Powieść starego myśliwego.

W starym Gwoździcu hen przed laty
Mieszkał szlachcic starej daty;
Był koronnym Łowczym zwan
Całą gębą wielki pan!

Stary dworzec stał w źwierzyńcu,
Sto ogarów na dziedzińcu,
A w komnatach co za broń!
A po stajniach co za koń!

Miał swe strzelce, dojeżdżacze,
Ale przy nim to partacze,
Bo niechybny jego strzał,
I na trąbce ślicznie grał.

Otóż pomnę raz mospanie
Dawał wielkie polowanie,
Wilków padło dziesięć sztuk,
I źwierzyny drobnej huk.

Gdy na psiarnią odtrąbili,
Dziesięć wilków powiesili
Tuż przy drodze w jeden rząd;
Ot okazja poszła ztąd.

Bo gdy w dworcu jedli, pili,
I wesoło gawędzili,
Licho wie tam zkąd i poco
Pan starosta wracał nocą.

Patrzy, przy świetle księżyca
Pełna wilków szubienica;
Naraz, czmychną konie wczwał,
Jakby szatan sam ich gnał.

Trzymaj! trzymaj! lejce chwyta,
A koniska rwą z kopyta,
W lewo, w prawo ponad rów,
Gdzie ich wstrzymać ani mów.

Na! na! na! na! hrym, panowie
Pan Starosta leży w rowie,
Káduk nadał jeszcze dąb,
By ostatni stracił ząb.

Gdy już pozbył pierwszą trwogę,
Szle w poselstwo kuternogę;
Był to jakiś duży fryz,
Chudy, rudy,trochę zyz.

„Niech natychmiast łowczy z drogi
Sprzątnie mi ten znak złowrogi,
Niech się stawi u mnie sam,
Tam nauczkę jemu dam."

„Idź i wracaj, nietrać czasu,
Tylko śmiało, bez hałasu,
Powtórz rozkaz jaki masz,
Za powrotem sprawę zdasz."

Poseł natarł czuba w górę,
Czoło zmarszczył w groźną chmurę,
Rzekłbyś żeby człeka zjadł,
Jako piorun w salę wpadł.

Ho! na sali łowczy bieden
Kuternogo! nie sam jeden,
Sto myśliwych półkołem
Biesiadują za stołem.

Ej źle bratku, kusa rada. —
Poseł gada i niegada
Ledwie w sobie czuje duch,
Jak kamfora zniknął zuch.

Cóż to za późna wizyta?
Co za jeden? Łowczy spyta,
Gadaj wasze, wszak i my
Z takiej gliny jak i ty.

Poseł wreszcie cię odniemi,
Skłoni nizko, aż do ziemi,
I jak komar wyda brzęk,
Jak czyscowej duszy jęk.

Wspierajcie mnie wszyscy święci!
Jam tu przybył nie z mej chęci;
Pan starosta mnie tu słał
Boć przypadek wielki miał.

Pan starosta, ot widzicie
Omal że niestracił życie
Dobrze, że gdzie stoi dąb
Stracił swój ostatni ząb.

Bo nas konie ponosili,
I okropnie przestraszyli
Szubienica, wilki te
Spazmy czynią, wszystko złe.

Więc przez usta sługi swego
Szle swą prośbę do łowczego,
By na strachy mając wzgląd
Ową zgrozę sprzątnął ztąd.

Baje, baje, łowczy rzecze—
Ot niewierzę temu człecze
Bo starostę dobrze znam,
Za poczciwca jego mam.

Strachy mają tam znaczenie,
Gdzie nieczyste jest sumienie.
Co innego wszakże ząb
Choć to nie ja, tylko dąb.

Lecz na spazmy rzecz jedyna
Kąpiel z starego węgrzyna! —
Dobra rada, w nią mi graj!
Hola! służba! Konia daj!

I popędził. A z nim goście
Prosto ku panu staroście
Gdzie zziębnięty cały drżał,
Bo wzwyż kolan w śniegu stał.

A porwawszy go jak swego
Powrócili w dom łowczego.
Hulaj dusza! póki czas!
Hej starosto z nami wraz!

Chciałeś minąć dom łowczego!
Otóż widzisz, że nic z tego,
Za urazę podaj dłoń —
I na zgodę wypij doń. —

Zanim jeszcze rozednieje,
Nim opaszem siecią knieje,
Niechaj zgoda wita dzień,
Zawiść kryje nocy cień!

Z myśliwemi trudno radzić
Trzeba pychę z serca zsadzić.
I lub z niemi w zgodzie pić,
Lub z nich z każdym w śmierć się bić.

Widząc że sam im niesprosta,
Wytrał pierwsze pan starosta;
Wziął myśliwski róg do rąk,
Podał dłoń i pił jak bąk.

A po chwili tak się skąpał,
Że nogami ledwie stąpał.
I łowczemu przyznał sam,
Że strach wszelki istny kłam.

Tylko jeden kuternoga,
Ni do ludzi, ni do Boga,
Gdy mu plany poszły wstecz,
Milczkiem czmychnął z dworu precz.

Ja, od tego do owego
A grajże mu podjezdnego!
Zamiatałże co miał tchu
Posłyszawszy na — tu — tu. — J. J.

O trzynastu córkach szlachcica litewskiego.

(Epizod z pamiętników.)

Starościna Horecka była to poczciwa kobiecina starszego kroju; serce miała najlepsze, choć może gęba mogłaby być nieco wstrzemięźliwsza. Jeżeli powiadam starszego kroju, nie rozumiem przez to niewiasty polskiej, jaką jeszcze tu i owdzie na naszej ziemi zdybać można było w końcu wieku minionego, i w początku teraźniejszego wieku. Nierozumiem pod tą nazwą owych niewiast dzielnych głową i sercem, które świeciły prawdziwie brylantową czystością cnót i obyczajów, i które bóg zda się zachował u nas w pośród ogólnego zepsucia, jakie nam z Francyi wraz z ostatnim królem nasze wędrowne sprowadzili dudki, na to tylko, aby się w ojczyznie naszej zachowały dla przyszłych pokoleń wzory czysto narodowe, przez współczesnych ojców i dziadów naszych, nam dla przykładu opowiadane. Starościna z swą twarzyczką malutką, z lekka blanszem i różem potynkowaną, z twarzyczką zawsze uśmiechającą się swobodnie, i dobrodusznie, na której były ślady piękności, o jakiej i sama i jej współcześni powiadali, że to była, *une beauté du diable;* z czołem niskiem i gładkiem, na którem przez cały ciąg życia żadna myśl cięższa śladu swego nie wkopała; z dobrze ufryzowaną peruczką ciemną i ciemniejszemi jeszcze oczyma, które strzelały sobie jeszcze w około, bez chęci podbojów; bez złośliwości, ale strzelały przecie żywo i wesoło, bo znać od dawna przyzwyczaiły się strzelać podobnie; starościna niewielkiego wzrostu, poważna wystającym brzuszkiem kulowatym, a lekka ruchami żywszemi jeszcze od spojrzeń oczu, i żywszym od ruchów językiem, była typem kobiet, jakich nam koniec wieku 18go zosta-

wił w spuściznie. Bez wielkich wad i wielkich cnót, bez głębokiego umysłu i czucia, wychowana na takim prawdziwie gościnnym obroku pojęć nibyto filozoficznych, bogatych w sieczkę słów, a ubogich w ziarno prawdy i pożytku, starościna Horecka poszła całem życiem swojem za przykładem tylu innych starszych od siebie kobiet, które były wzorem wytworności, świegotania, i lekkości na dworze Stanisława Augusta, tego króla budoarów; króla którego godłem od początku do końca była spodnica; króla teatralnego zaprawdę, bo miał wszystko, co potrzeba mieć z wierzchu do reprezentacyi monarszej, lecz niemiał niestety nic w sobie królewskiego. Jak król na deskach teatru, niepomny że te deski po których stąpał były deskami, na których się odgrywał jeden z największych dziejowych dramatów, Stanisław August, szychem tronowych galonów pokrywał próżnię wewnętrzną, i cały ten fałsz teatralny, który gada słowami nie swemi, udaje wszystkie uczucia, małpuje wzory historyczne w ich zarysach powierzchownych głosu, wymowy, giestów i ruchów, a nawet ginie od udanego na sprężynach sztyletu. Pani Starościna zatem należała do dam starego kroju dla nas, którzy żyjemy w połowie wieku dziewietnastego; wesoła i miła w towarzystwie, uprzejma i grzeczna dla wszystkich, a nawet uczynna nie przez właściwą dobroć serca, ale przez lekkość, i ten w owym czasie wygórowany egoizm, który dla podniesienia własnej przyjemności, wesołych w koło siebie wymagał twarzy. Bo to w owym czasie cała sztuka życia na tem się zasadzała, aby nie myśleć o tem życiu, żyć z dnia w dzień, bawić się jak i gdzie można najlepiej, i używać co się tylko użyć dało. Jak pszczoły towarzyskie ludzie ówcześni, zbierali zewsząd najsłodszy miód użycia, i dzielili się nim serdecznie, czule i uprzejmie, aby tylko było swobodnie, aby było wesoło i bez wszelkiej troski, zostawując ją dla wdzięcznych potomków. *Le deluge après moi* było niezaprzeczonem godłem owoczesnego społeczeństwa. I cóż dziwnego? był to jak zwyczajnie czas przechodowy, czas omdlenia moralnego, jakie nastąpić musi zawsze po wielkich wstrząśnieniach. Przypomnijmy sobie, że się to działo nazajutrz prawie po upadku Napoleona, który z prawa mocniejszego nastąpił po upadłej rewolucyi francuskiej. Po upadku i wielkiej idey, i wielkiego człowieka, cóż mogło pozostać przez czas długi w społeczeństwie, jeżeli nie przesycenie wszelkiej wielkości, jeżeli nie brak wiary w trwałość wszelkich usiłowań ludzkich na widok połamanych kolumn tak olbrzymich. Jednem słowem zostały małe idey, i mali ludzie. Po przesileniu sił moralnych i umysłowych nastało panowanie ciała. To też bawiono się, ale bawiono się, jakby życie całe było jednym bankietem bez końca.

Językowa niewstrzemięźliwość naszej starościny, pochodziła raczej z jej gadatliwości, niżeli złośliwej chęci obmowy. Chociaż zapewne posiadała ona wielki skarbiec pamiątek, którym szafowała wspaniale, przecież gadając bez końca, nie mogła się obejść bez lekkiej obmowy, która jest niezaprzeczenie najłatwiejszym przedmiotem rozmowy. Trzeba wszakże oddać sprawiedliwość poczciwej starościnie, że obmawiając nawet, dotykała raczej śmieszności, niżeli zdrożności towarzyskich; choć podobno jak wszystkie damy owoczesne nie była wielką religiantką, pamiętała o niektórych prawdach ewangielicznych, i na nikogo nie chciała pierwszego rzucać kamienia. Trzeba wszakże dodać, że w owym czasie goniono za śmiesznościami najzawzięciej, aby się naśmiać dowoli; to też śmiano się z drugich, śmiano z siebie samego, byle wesoło, i mniej więcej dowcipnie. Zdrożności społeczeńskie nie istniały prawie, bo nie istniały w wyobrażeniach tamtego społeczeństwa, chyba tylko w razie, gdy żadnej nie przynosiły korzyści, lub żadnej przyjemności; zdrożności bezużyteczne miano jedynie za prawdziwe zdrożności. Dowcip, a tego dowcipu, i to żywego, nienaciąganego, dowcipu, którym wszystkie rozmowy iskrzyły się jakby fajerwerkiem, było daleko więcej, niżeli dzisiaj; dowcip zatem zastępował miejsce rozumu, wesoły śmiech panował miasto myśli, a przyzwoitość i dobry ton zastępowały cnotę doskonale. I nareszcie starościna, i wszystkie jej podobne damy owego czasu miały tyle właśnie sprytu, by się nie wystawiać na tak łatwy odwet obmowy. Starościna jak i inne damy owoczesne przyznawały się nawet w pewnym stopniu do niektórych słabości, które były w porządku rzeczy, były w zwyczaju, i byłyby wszystkie wyśmiały cnotliwego purystę, zarzucając mu, nie bez niejakiej słuszności, że to nie może być złem, co jest powszechnem, a co więcej, że to nie jest złem, co jest miłem i przyjemnem. Najnaiwniej, najniewinniej i najweselej rozpowiadały sobie panie, każda o swoim kochanku, czyli raczej o kochankach, bo że gdyby się była zdarzyła taka, któraby na prawdę jednego tylko przez swe życie posiadała kochanka, stałaby się wnet przedmiotem pogardliwej ciekawości, jakby jaki poczwarny wyrodek. Jedyną zaś osłoną podobnej rozmowy było, że nie używano tego słowa kochanek, lecz nazywano go, oczywiście po francusku *notre ami*, pociągając tem słowem i męża do solidarności czułych dla niego uczuć. Jakoż jest to już rzecz stara jak świat, że kochanek jejmości bywa najlepszym przyjacielem męża, przyjacielem domowym.

Wracając do starościny, wiedziano o niej, i ona sama o sobie rozpowiadała, że pominąwszy pomniejsze stosunki przelotne, *sans consequence*, które nie trwały dłużej nad życie kwiatka, stałym jej adoratorem był pan major Orzejko, który nawet mieszkał z nią razem, jako nieodstępny towarzysz i przyjaciel. Była to wówczas para nierozdzielna starców kochających się tak czule, mających nawzajem dla siebie tyle uprzejmości, tyle uprzedzeń, że miasto ganienia trzeba się było rozczulać. I nikomuby w owym czasie nie

przyszło na myśl, dziwić się podobnemu stosunkowi, wyśmianoby go jak jakiego księżycowego nowatora, bo rzecz była tak naturalna, tak zwyczajna, jakby surdut o dwóch rękawach. Żyją z sobą, kochają się, bo im dobrze z tem i kwita! Czyż niedosyć dla drugich, widzieć powierzchowność tak patryarchalną prawie; nacóż łamać sobie głowę nad jej ocenieniem moralnem! Majora, który kładł po całych dniach pasyansa napoleońskiego, jak go w ówczas nie wiem dla czego nazywano, poznamy wkrótce, a tu dodam tylko do charakterystyki naszej starościny, że miała jedną olbrzymią śmieszność, która ją tem przyjemniejszą robiła dla wszystkich, bo śmieszna strona człowieka była wówczas korzyścią niezawodną dla niego samego i dla drugich. Dla drugich, bo się mogli weselić, dla niego bo miał przyjemność widzieć twarze wesołością wypogodzone. Tą jej śmiesznością, która nieraz wzbudzała w owoczesnych towarzystwach śmiech homeryczny, była bojaźliwość, i to nie bojaźliwość pospolita, nie bojaźliwość zwykłego kroju, ani też udana, ale bojaźliwość, jeźli wolno się tak wyrazić, jenialna. Bała się w dzień i w nocy, w samotności i między ludźmi, na wsi czy w mieście, w domu czy w podróży, w łóżku czy na ulicy, bała się zawsze i wszędzie. Sceny w tym względzie opowiadane, a wszystkie w rzeczy samej najprawdziwsze, utworzyłyby zbiór równie liczny jak pocieszny. Przytoczę tu przelotem kilka przykładów tej szczególnej bojaźliwości.

Stojąc razu jednego na balkonie pierwszo-piętrowym tak się przestraszyła pędzących ulicą koni, że się musiała położyć do łóżka i odchorować swój przestrach.

— Czegóż się aśćka przestraszyła? — pytał major: by kogo konie nieroztratowali, czy co?

— Głupiś asińdziej! — odpowiedziała rozgniewana: ja się o siebie bałam.

Idąc miastem, a nie szła nigdy sama, tylko zawsze pod eskortą jakiegoś mężczyzny, i lokaja z tyłu, jeżeli zapomniawszy się przechodziła koło odwachu, a żołnierz chodzący na warcie szedł przypadkiem w tej chwili ku niej zwrócony, uciekała co żywo, i omijała jak najdalej, choćby przyszło dryptać po błocie.

— Bo uważasz asińdziej — mówiła do eskortującego ją kawalera: on tak strasznie jakoś, szedł prosto ku mnie z bagnetem.

Nie jeździła prawie nigdy, tylko zawsze chodziła piechotą, bo nad wszystko bała się i koni i powozu, koni by się nie uniosły, powozu by się nie wywrócił. Jej podróże wszystkie były najpocieszniejszą rzeczą w świecie. Mieszkała ona w kongresowej Polsce, gdzie miała znaczny majątek, i co roku z majorem przybywała na kilka miesięcy do Lwowa. Chociaż miała powóz umyślnie dla siebie sporządzony tak niski, że wyglądał raczej na wózek dziecinny, niżeli na powóz podróżny, a konie stare, wypasione i doskonale ujeżdżone przez samego majora, dawnego rajmoncistę, te kilkadziesiąt mil drogi odbywała starościna po większej części piechoto. A co było powodów do strachu na każdym popasie, a mianowicie na noclegach, przy których dobywała z pamięci wszystkie słyszane i niesłyszane, wyczytane i niewyczytane zdarzenia tragiczne o pozarzynanych, poduszonych, poćwiertowanych i do piwnic powrzucanych podróżnikach, tego nie spisać na wołowej skórze. Najwięcej zaś w czasie podróży bała się jechać pod górę.

— Bo uważasz asińdziej — mówiła do śmiejącego się majora, powóz może się przewrócić do góry nogami.

— Kołami! chcesz imość powiedzieć.

— Asińdziej zawsze głupi jesteś! — zaczynała z gniewem, a kończyła czułem uściśnieniem ręki majora, i dodawała z uśmiechem:

— Ty Orzejsiu jeszcze strasznie młody jesteś. (C.d.n.)

Lwów d. 6. marca 1854.

Do Szanownej Redakcyi **Nowin.**

Przed kilką tygodniami pismo w Krakowie wychodzące «Czas», umieściło w swych kolumnach zawiadomienie o mojej niebespiecznej słabości, która rzeczywiście przez długi czas raptownie się wzmagała.

Teraz dla uspokojenia moich krewnych w oddaleniu będących, i łaskawych przyjaciół, których przychylność mogłem pozyskać, a przytem dla wywiązania się z długu wdzięczności jaką wybawcom moim od śmierci winienem, załączam poniżej krótkie oświadczenie, prosząc Redakcyją, aby raczyła takowe w swem piśmie umieścić.

Dotknięty kilkoma razem chorobami, z których każda dla młodych nawet niebespieczna, w moim znacznie podeszłym wieku zdawała się nieuleczoną, niemiałem żadnej nadziei być uratowanym. Lecz opatrzność inaczej zrządziła. Szanowni Doktorowie Wereszczyński, któren od przybycia mego z familią w te strony, ciągle daje nam dowody przyjaznej i zawsze skutecznej dla zdrowia rady; z godnymi kolegami Orzechowiczem, Ziembickim i Nestorem tutejszych doktorów Rapaportem nietylko biegłością w sztuce, ale nieustannym, niezmordowanym, rodzinnej zwykle troskliwości właściwym dozorem, pokonali te wszystkie choroby, do zupełnego przyprowadzili zdrowia i bez przesady mogę powiedzieć, śmierci mnie wydarli.

Znakomici w Waszym trudnym zawodzie, poważani i znani powszechnie z prawości charakteru, wiem że pod żadnym względem podobnych ogłaszań niepotrzebujecie. Są wszakże uczucia, którym człowiek oprzeć się niejest wstanie. Otóż ja właśnie ulegając takowym uczuciom, w dopełnieniu do czego mnie obowiązują, oświadczam Wam publicznie czcigodni Mężowie, pełne wdzięczności podziękowanie, które raczcie przyjąć dobrem sercem, i przebaczcie jeżeli tem skromności Waszej uchybiam.

Józef Dwernicki, Jenerał.

Rozmaitość.

* **Nowe dzieła.** Poezye Mieczysława R... młodego, 20 lat zaledwie mającego pisarza, którego ustępy z powieści Chorąży, i Chart Watażki umieściliśmy w Nowinach, wyjdą wkrótce z druku nakładem H. W. Kallenbacha. W drukarni Ossolińskich drukują się obecnie Karola Szajnochy: Czasy Jagiellonów. Drukarnia E. Winiarza kończy właśnie druk Dziejów powszechnych Dra. Jerzego Webera, przełożonych i uzupełnionych co do dziejów słowiańskich i polskich przez S. Zarańskiego i H. Żywickiego. Będą to dwa tomy in 8vo majori po 600 blisko stronnic tom każdy. Dzierzkowskiego powieść: *Dwaj bliźnięta,* wyszła w osobnym tomie. Jestto pierwsza powieść z trzech powieści już napisanych, nabytych przez redakcyą, a całość jednę co do idei przeprowadzanej stanowiących. Lud nasz z żądłem nienawiści w sercu ku szlachcie nie zdolen narodowego życia, dopokąd się nie przetworzy i tej nienawiści nie pozbędzie. Bo nienawiść szlachty to jest nienawiść narodowego życia. Oto idea tych powieści. W pierwszej powieści reprezentanci tej nienawiści giną. W drugiej przez opozycyą na wyższe wznoszą się chociaż nie narodowe jeszcze stanowisko. W trzeciej godzą się z życiem historycznem, narodowem i z szlachtą jako z reprezentantami tego życia.

* Zeszyt 159 Biblioteki warszawskiej, za miesiąc marzec wyszedł z druku i zawiera: Wspomnienia podróży w latach 1852 i 1853. Tyrol. Okruszyny wiadomości z dziedziny sztuki i starożytności naszych, zebrał Ambroży Grabowski. Chata za wsią. Powieść Józefa Ign. Kraszewskiego (ciąg dalszy). Ksiądz Wojciech z Konojad Dembołęcki, przez Juliana Bartoszewicza. Poezya. Zagroda wiejska. Powiastka z pierwszych lat XIX. wieku. Pieśń Anioł przez J. Kiersza. Kronika z Paryża literacka, naukowa i artystyczna: Teatra. Simon: Devoir. Villemain: Souvenirs contemporains. Castille. Histoire de la seconde republique. Armand Berlin. Karnawał. Listy archeologiczne, przez Józefa Łepkowskiego: Kronika literacka. Uwagi krytyczne nad życiorysem Szymona de Cortecella, przez Ludwika De Lavaux. 540. Wspomnienia z lat dziecinnych, zebrane dla mojej córki, przez matkę Drogosławę. 2 tomy. Petersburg 1854. Przez T. Rozmaitości. Życie Gizewiusza, przez Kazimierza Szulca. Wróżące stoły u Rzymian, przez K. Stoetzera. Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych. Fizyka, przez S. P. Chemia, przez J. B...ę. Kronika bibliograficzna. Doniesienia literackie. Dostrzeżenia meteorologiczne za miesiąc styczeń r. b.

* **Dwa smutne wypadki.** Przed kilkunastu dniami przez Manasterzyska pan Sz. wracał z żoną z wizyty z sąsiedztwa. W tem w szybkim biegu koni sanki idą w zatokę i uderzają o słup przy drodze stojący. Pan Sz. powożący i żona wypadają, mąż w śnieg a żona uderza głową o słup i na miejscu pada nieżywa. Konie uciekają. Mówią nam, iż mąż z przestraszenia i rozpaczy miał dostać pomieszania zmysłów.

* Drugi wypadek opowiadają po Lwowie dość powszechnie. Za prawdziwość wszystkich szczegółów ręczyć niemożemy. W powozie kilku passażerów jechało z Siedmiogrodu do Czerniowiec. Wtem jedna z jadących pań otwiera nagle powóz; wyskakuje i biegnie w pobliskie zarośla. Powóz się zatrzymał. Passażerowie czekali z pół godziny. Nareszcie druga z pań jadących wysiada i idzie szukać pierwszej. Po dłuższej chwili pozostali słyszą przeraźliwe nieludzkie głosy. Jeden z panów jadących, jak mówią wojskowy, biegnie w zarośla w tę stronę z kąd krzyki dochodzą i zastaje jedną z pań nieżywą i okropnie pokrwawioną. Druga wściekle rzuca się na przybyłego. Miała to bowiem być osoba, która pokąsana dawniej od psa wściekłego, czując zbliżający się paroxyzm, wyskoczyła z powozu i dostawszy paroxyzm, zagryzła szukającą ją drugą panię.

* **Od wydawcy Nowin.** Z powodu zapytywania się nas, czy Nowiny z roku jednego podzielone będą na tomy, któreby osobno oprawiać można oświadczamy, iż gdy w kwartale jednym wypada 39 numerów, zamało zatem byłoby do jednego tomu. Z tej przyczyny podzielony będzie rocznik jeden na trzy tomy, z których każdy po 52 arkuszy zawierać będzie. Do każdego tomu będzie z osobna karta napisowa i spis treści dołączone. Dopiero teraz przywiedliśmy do skutku ugodę stałą z francuskim dziennikiem *Le bon ton,* z którego ryciny od 15go marca będą regularnie prenumerującym dostarczane. W jednym kwartale za dopłatą do ceny Nowin jednego złr. otrzymują prenumeranci *sześć* rycin mód, na każdej po trzy lub cztery figury; *jeden* kolorowany staloryt wzorów do robót na kanwie (tapisserie); *dwa* kolorowane staloryty wzorów kapeluszy, czepków, kołnierzyków, półkoszulków i t. d. (lingerie); *dwa* duże arkusze wzorów do haftów, szydełkowych robót i t. p. *jeden* podwojony arkusz krojów sukien damskich. Są to te same ryciny, które z zmienionym podpisem podaje dziennik *Iris.* Prenumerować można tak Nowiny jak i mody od 1go w każdym miesiącu. Również z powodu listowych zapytań oświadczam, iż kompletowych exemplarzy Nowin jeszcze kilkadziesiąt mamy dotąd w zapasie.

Przyjechali dnia 6. 7. i 8. marca do Lwowa:

PP. Brzozowski Karol, z Mikołajowa. Dombay Dyonizy, ze Stryja. Horn Edward', z Laszek. Knispel Antoni, z Brzeżan. Marynowski Karol, z Tuligłów. Onyszkiewicz Adryan, z Złoczowa. Szafrański Jan, z Mościsk.

PP. Hr. Dobrzyńska Michalina, z Bogdanówki. Jakubowski Adam, z Mikuliniec. Mayer Franciszek ze Stanisławowa. Nodrzejowski Dominik, z Sądowej Wiszni. Papara Antoni, z Żółkwi. Hr. Piniński Leonard, z Rokietnicy. Poten Fryderyk, z Łahodowa. Rodkiewicz Józef, z Żółkwi. Sadłowski Józef, z Sokołówki. Skarzyński Michał, z Budzanowa. Stasicki Antoni, z Sądowej Wiszni.

PP. Koniecki Marceli, z Procisna. Strzelecki Jan, z Komarnik.

Wyjechali dnia 6. 7. i 8. marca ze Lwowa:

PP. Borkowski Włodzimierz, do Lubieniec. Korytowski Erazm, do Tarnopola. Majerski Stanisław, do Rakszawy. Paszkudzki Ignacy, do Zędowic. Hr. Starzeński Leopold, do Dutkowic. Hr. Starzeński Józef, do Mogielnicy.

PP. Hr. Badeni Władysław, do Surochowa. Bogdanowicz Maksymilian, do Żółkwi. Czernoszyński Stanisław, do Tarnopola. Krynicki Onufry, do Przemyśla. Thullie Jan, do Mokrzan. Ruebenbauer Zygmund do Jarosławia. Serwatowski Wojciech, do Bursztyna.

PP. Hr. Piniński Jan, do Bartatowa. Hr. Drohojowski Józef, do Balic.

Kurs lwowski.

Dnia 9. Marca.		gotówką			towarem		
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	58	złr.	6	kr. 1.
Dukat cesarski	"	6	"	2	"	6	" 5.
Półimperyał zł. rosyjski	"	10	"	22	"	10	" 26.
Rubel srebrny rosyjski	"	2	"	1	"	2	" 2.
Talar pruski	"	1	"	55	"	1	" 58.
Polski kurant i pięciozłotówka	"	1	"	29	"	1	" 30.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	"	90	"	48	"	91	" —.

Kurs telegraficzny z Wiednia 8. marca o 2 g. popołudniu.

Amszterdam 110. Augsburg $131\frac{1}{4}$. Frankfurt 131. Hamburg $91\frac{1}{4}$. Liwurno. — Medyolan $127\frac{1}{2}$. Genua. — Londyn 13.47. Marsylia $153\frac{1}{2}$. Paryż 154. Bukareszt. — Konstantynopol. — Agio duk. ces. $35\frac{3}{8}$. Srebra agio 31. Pożyczka 5% $85\frac{3}{4}$. $4\frac{1}{2}$ $75\frac{3}{8}$. Pożyczka lit. B. — Akcye banku 1227. Kolej północna 2220. Obl. ind. 5% —.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: H. W. Kallenbach. Z drukarni E. Winiarza.